Nº 9.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali Opiekuna Domowego, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku Czytelnię Domową, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści belletrystycznej.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 17 Lutego / 1 Marca 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). Skład główny dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u Leitgebera, — *we Lwowie* u Wilda Karola, *w Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

O POWOŁANIU ZIEMIAŃSKIÉM.

(*Dokończenie*).

Powiadają jeszcze niektórzy rozgorączkowani zapałem do przemysłowości i fabryk obecnéj doby: „gospodarstwo rolne — to także fabryka, ziemia — to jéj warsztat; a ty ziemianinie — jesteś tak dobrze fabrykantem, jak każdy właściciel swojéj fabryki!" Ależ panowie! — zawiele potęgi i władzy nadajecie ziemianinowi, który jako prosty śmiertelnik nie może nigdy swoim fabrykatem mienić plonu pól swoich, bo on przecież ziarna przenicy albo żyta nie wyfabrykuje, jak się gwóźdź lub szpilkę wyrabia we fabryce. Nie, ziemianin nie jest fabrykantem zboża, a ziemia nie jest jego warsztatem; on tylko wedle praw bożych, z których niektóre odkryli ludzie w przyrodzie, pracuje na bożym warsztacie wedle ułamków wiedzy, a Bóg mu dozwala w nagrodę jego pracy zbierać większe lub mniejsze owoce z tejże w plonach, które z dopuszczenia Bożego się rodzą, aby jemu dając utrzymanie stanowiły zarazem środek wyżywienia się dla społeczności. W takiém właściwém postawione swietle stanowisko i praca jego zawodu, daje dopiero rzetelny obraz jego powołania, charakter i zachowanie się jego należycie określa.



Kościół Panny Maryi w Poznaniu. (Str. 67.)

Przejdźmy do przejrzenia rzeczywistego stanu obecnego ziemiaństwa i zapytajmy się, czy cechy zdrowia moralnego są tam wszystkie w swojéj całości?

Odpowiedź nie wypadnie wcale twierdząco, a przyczyny tego są wielorakie. Źle jednak leży głównie w tém, że wielu obrało sobie zawód ziemianina, nie mając bynajmniéj do niego powołania. A *najprzód* — za dawnych czasów, wielu czepiało się wioski jedynie dla tego żeby mieć *stanowisko i znaczenie* jakie własność ziemska nadawała. Inni znowu nie zważając że im brak w duchu usposobień i popędów do tego zawodu, obrali go przecież z przeważnéj siły *nawyknienia plemiennego*; inni znowu *prawem dziedzictwa* otrzymali własność ziemską po rodzicach, a nie odziedziczyli potrzebnego do ziemiaństwa powołania. Ci wszyscy imiennie zaliczali się do liczby ziemian, ale z ducha, sposobu życia i zajęcia, — ziemianami nie byli. Oni to nie czując w sobie żadnego pociągu do gospodarki, zdali ją na łaskę i niełaskę swoich ekonomów, a sami, z tytułu tylko ziemianie, włóczyli się po za granicami kraju lub przesiadywali w stolicy. Jeżeli czasowo zamiesz-

kali w wiosce, obcym przejęci obyczajem, nic z ziemiańskiego ducha nie jawili w życiu swojém, a gospodarstwo własne znali tylko z tego grosza jaki rok rocznie wywozili z kraju, ubożąc go tym sposobem coraz więcéj. Szukać zatem w ich życiu zbawiennych wpływów, jakie to zajęcie na dusze wywiera — byłoby daremném, gdyż oni temu zajęciu nie oddawali się wcale; a jako własność swoję zostawili w zaniedbaniu materyalném, tak zaniedbali zupełnie swe obowiązki moralne, jakie na nich, jako na ziemianach ciążyły. Przez wychowanie dzieci na krój zagraniczny, przez szczepienie w nich ducha kosmopolityzmu i zamiłowania do wojażów, wyświadczyli ziemiaństwu krajowemu najcięższą krzywdę,—namnożyli próżniaków, i marnotrawców.

Powtóre.—Drugi szereg, dosyć liczny, stanowili i stanowią obecnie z pomiędzy ziemian ci, którzy bądź naturalném prawém spadku, bądź zbiegiem przeróżnych okoliczności, znaleźli się właścicielami większego lub mniejszego obszaru ziemi; a chociaż nie mieli w sobie wyraźnego zamiłowania do gospodarki, jednakże byli *w warunkach niemożliwości obrania sobie innego zawodu*, zostali przeto gospodarzami przewagą tych okoliczności. Z tych *część jedna*, albo uległa smutnemu losowi wywłaszczenia, lub też z wolnéj ręki się wywłaszczyła, albo dotąd biedę klepie na wsi, nie mogąc sobie dać rady ani z brakiem w kieszeni, ani z brakiem w głowie i z umiarkowaniem nawyknień swoich, ani też z brakiem zamiłowania w duchu do swego zawodu; a spełniając go bezdusznie, bez popędu wewnętrznego, nie mając przytém uzdolnienia zawodowego, dla braku chęci zajrzenia do książki pouczającéj, właściwie mówiąc — nie gospodaruje, ale się szarpie na swéj chudobie, z wierzycielami i lichwą. — *Druga ich część* z tego samego szeregu, to są same paniczyki i utracjusze. Dla tych nie ma żadnego zawodu na świecie któryby umiłowali, bo im każda praca i obowiązek nieznośnym jest zawsze. Rozbałamuceni za młodu, na bruku miejskim, wielu z nich razem ze zdrowiem ciała straciło i zdrowie ducha—i przyszło już na wieś z tém kalectwem podwójném. Życie ich pstre i dziwaczne, jak pstre i nieurobione pojęcia, a zasady — żadne. Karty, hulanka, z biedą na przemian i wyrywanie się częste do miasta po nowy czad dla ich głowiny, ot—to przebieg i tkanka ich życia. W takiéj parodji ziemiańskiego zawodu i ziemiańskiego życia, nie może być nawet mowy o spełnianiu jakichkolwiek obowiązków wypływających z tego powołania;—atmosfera bowiem jaka z ich siedzib w około się unosi, nie ma w sobie nic takiego coby tchnęło spokojem, powagą i szlachetnością myśli.—*Trzecia wreszcie część* z tego szeregu, wytrwalsza w duchu, pamiętająca na obowiązki względem siebie, rodziny i społeczności, chociaż nie miała zrazu zamiłowania do tego zawodu (widząc jednak konieczność swojego położenia, a nie chcąc uchybić stanowisku jakie zajęła) — jęła się do pracy swojego zawodu usilnie i statecznie. Nieuzdolniona zawodowo, poczęła wertować i pilnie odczytywać dzieła agronomiczne i takowych treści praktycznie douczać się na zagonie, aż w końcu, z pracy usilnéj i wytrwałéj, zrodziło się zamiłowanie, i wybłysła prawdziwie ziemiańska zdolność.

Po trzecie, są jeszcze między ziemianami bez powołania, *handlarze wiosek*, którzy na to tylko własność ziemską kupują, ażeby, potrzymawszy ją czas jakiś, odsprzedać potém z zyskiem, i znowu nabywszy inną, to samo czynić daléj. To są handlarze nie ziemianie.—O ich ziemiaństwie nie mamy nic do nadmienienia, bo oni sami nie poczuwają się do niego bynajmniéj.

Po większéj części są to tylko pijawki téj skiby na któréj niby to gospodarzą, a polują na wyciągnięcie z niéj jak największego dochodu. — Polowanie—to *alfa* i *omega* ich zadania ziemiańskiego, i podobno—jedyny cel ich życia.

Przeszedłszy wszystkie szeregi tych ziemian, którzy bez popędu wewnętrznego, bez poczucia w sobie zamiłowania do ziemiaństwa wzięli się do niego, cóż powiemy o tych, którzy z rzetelnego zamiłowania zawód ten sobie obrali?

Niestety! wśród chwil przejściowych i czasów krytycznych, wielu z nich traci to zamiłowanie i chwieje się w wytrwaniu do końca w swoim zawodzie. Starszym wiekiem wątleją siły, a młodzi nie zawsze stają w gotowości zbrojnéj wytrwałością i mocą ducha do godnego ich zastąpienia. Wszyscy w ogóle głoszą z utyskiwaniem: że gospodarstwo dziś zanadto przykre, połączone z wielkiemi trudnościami, — za trudy i znoje zbyt ciężkie — bardzo małe daje owoce. Jaki taki usuwa się z pola czynnéj działalności ziemiańskiéj, wydzierżawia swój majątek, a sam osiada na wypoczynek w miasteczku. Lecz rozważmy jak zgubne czekają nas i społeczność następstwa, jeżeli ta niechęć do ziemiaństwa coraz więcéj wzrastać będzie! Rozumiem dzielenie zawielkich obszarów na mniejsze gospodarstwa i wypuszczanie w dzierżawę mniejszych przy zostawaniu samemu na głównem; lecz usuwanie się całkowite od gospodarstwa w swéj majętności, to połowiczne już wywłaszczenie się z niéj i opuszczenie stanowiska ziemianina, to zapoznanie swych ważnych obowiązków i utrata zbawiennych wpływów moralnych.

Dla dozupełnienia naszego zarysu, wspomnimy jeszcze o pewnéj zmianie w duchu ziemiańskim, jaka w obecnym czasie na jego niekorzyść coraz więcéj się pojawia. Dawniéj ziemianin byle miał co potrzebował—nie frasował się zresztą o swoje dochody, a w ziemiańskim zawodzie—najmniéj myślało pieniądzach.—Dzisiaj ziemianie najwięcéj myślą o dochodach i tylko o dochodach,—a mimo to—bardzo mało mają pieniędzy. Zapewne—zmieniła się postać rzeczy pod wielu względami; nastały nowe potrzeby i wymagania, liczniejsze ciężary, trudniejsze warunku dla bytu ziemiańskiego. Gospodarstwo w środkach i podstawach swych, uległo dużéj przemianie. Samo nawet znaczenie ziemianina zmalało nieskończenie. Wszystko to mogło wpłynąć i wpłynęło niezawodnie na zwiększenie w jego duchu pożądania pieniędzy i stawienie ich dzisiaj na wyższym stopniu, jako konieczną potrzebę i cel zabiegów ziemianina, pod względem materjalnym. Ze stanowiska praktycznego, przy ocenie przyczyn i skutków, dostatecznie się to tłumaczy. Lecz usilniejsza zabiegłość gospodarska, większa ważność i znaczenie jakie ziemianie do pieniężnych okoliczności słusznie dziś przywiązują, — nie powinna ich przecie prowadzić do zwichnięcia ducha ziemiańskiego, do całkowitego pozbycia się wyższych celów, kromie jednego:—wydobywania potrzebnych pieniędzy! Rola ta właściwą jest samym tylko lichwiarzom, ale nigdy—szlachetnym ziemianom.

Kornel Malczewski.

SZEWC I KAPITALISTA

(OPOWIADANIE).

— Jakoś mi słowa płyną dziś dobrane,
Więc co powiem, to prawdą będzie oczywistą.
Raz w jednym domu o ścianę,
Mieszkał szewc z kapitalistą.
Szewc sobie śpiewał od ranka do zmroku,
Nawet na chwilę nie mógł się uciszyć;
Widząc jego wesołość miło było oku,
A jeszcze miléj pieśń słyszéć.
Sąsiad jego przeciwnie, choć w złocie opływał,
Spał mało, wcale nie śpiewał.
Gdy po nocy bezsennéj, rankiem zdrzemnął chwilę,
Budziły go szewca tryle;
Aż się użalał bogacz na porządek świata,
Że sobie snu i spoczynku,
Ten, czyja kieszeń dość na to bogata,
Nie może kupić na rynku.
Raz gdy tak bogacz ramionami wzrusza,
Dziwiąc się, że szewc wesół śpiewa Tadeusza,
Przyszła mu myśl zaprosić do siebie sąsiada,
I wybadać czém się dzieje,
Że bez względu na zmienne swéj doli koleje,
Ciągle śpiewa a nie biada.
Gdy szewc przyszedł, wnet bogacz rozpytywać pocznie:
„No, majstrze Piotrze, ileż zarabiacie rocznie?"
Majster Piotr zażył tabaki.
„Rocznie?—rzekł,—nie znam panie buchalterji takiéj,
Nie mam nigdy wiele w worku,
A rachować co poszło, próżne korowody,
Zarobek z poniedziałku, starczy mi do wtorku,
Zarobek z wtorku do środy,
I tak się jakoś wlecze, aż do końca roku.
A gdy się czasem odłoży,
Na przypadek choroby, grosz jakiś na boku,
To mi już idzie niezgorzéj."
— Lecz musisz wiedzieć jaki masz zarobek dzienny?...
— To większy, to znów mniejszy, w ogólności zmienny;
Gdyby był stały, byłoby to lepiéj,
Lecz pragnąć tego, na nic się nie przyda,
Więc chociaż czasem przypyta się bieda,
Człowiek tą myślą się krzepi,
Że jak się przyczepiła, tak się i odczepi."
Bogacz się rozśmiał z téj mowy,
I temi przemówił słowy:
„Żal mi cię, majstrze Piotrze, poczciwy człowiecze,
A że mam złota zawiele,
Więc z tobą niém się podzielę,

Od biédy cię zabezpieczę.
Patrz, oto dukatów setki,
Schowaj je do swéj kaletki.
Gdy biéda zajrzy do ciebie,
Czerp z nich w potrzebie.“
Zdumion na widok hojności ogromu,
Jakby zobaczył wszystkie skarby Kaliforni,
Majster Piotr podziękował panu najpokorniéj,
I poszedł z złotem do domu.
Fortunę, którą sąsiad go zbogacił,
Na trzy spusty zamknął w skrzyni;
Musiał też sen i spokój zaryglować przy niéj,
Bo nagle przestał śpiewać, jak gdyby głos stracił,
I choć się pracą nie przestawał nużyć,
Nie mógł w nocy oka zmrużyć.
Na miejsce snu i pieśni, weszły w jego progi:
Podejrzenie, troski, trwogi.
W dzień za najmniejszém poruszeniem klamki,
Biegł do skrzyni oglądać, czy całe jéj zamki;
A gdy pośród nocnéj ciszy,
Kot odbywał pogoń myszy,
On w szeleście skoków kota,
Słyszał złodzieja co się zakradał do złota.
Schudł, zmizerniał, z ożywionéj—
Jego twarz stała się blada,
Aż nareszcie wycieńczony,
Poszedł z płaczem do sąsiada,
Którego już nie budził, jak dawniéj co ranka,
Pieśnią brzmiącą bez ustanka,
I w progu jego komnaty,
„Panie—rzekł—przebacz, że cię niepokoję,
Chciéj zabrać swoje dukaty,
Wróć mi sen i piosnki moje.“

Wołody Skiba.

KOŚCIÓŁ PANNY MARYI W POZNANIU.

Świątynia, którą zamieszczona rycina w niniejszym Numerze naszego pisma przedstawia, jest zabytkiem z dalekiéj przeszłości i należy do najdawniejszych w tym rodzaju pamiątek. Niewiadomą jest data kiedy i przez kogo została zbudowaną. To tylko powiedzieć można, że kościół Panny Maryi w Poznaniu, walący się już w r. 1445, Biskup Andrzéj z Bnina, jeden z najznakomitszych poznańskich pasterzy, wyrestaurował z gruntu. Ale ząb czasu zniszczył go był powtórnie tak, że długie czasy starano się o fundusze do podniesienia tego pobożnego pomnika, ujmującego oczy widza swą miłą powierzchownością, do stanu w jakim znajdować się winien,—lecz starania te żadnego prawie nie odnosiły skutku. Dopiero w roku 1862, Arcybiskup Gnieźnieński Leon Przyłuski, własnym kosztem go odnowił, konsekrował—i dziś kościół ten stanowi piękną, poważną i ujmującą pamiątkę i ozdobę miasta.

WYCIECZKA W GŁĄB SERBJI, 1869 roku.

przez

WŁADYSŁAWA KOZŁOWSKIEGO.

I.

Podróż Dunajem. — Milanowa.

Przedsiębiorąc podróż w głąb Serbji, nie zakładałem sobie wielkich rzeczy, a poprostu chciałem tylko własnemi zobaczyć oczyma to, co dotąd znałem li z książek, o czém dotąd wiedziałem zaledwie z luźnych, a niezawsze dokładnych opowiadań.

W ciągu wędrówki, trwającéj nie więcéj jak sześć tygodni, niepodobieństwem było zwiedzić wszystko, co na to zasługiwało i o wszystkiem jak należy dowiedzieć się. To też niniejsze notatki skromne, dalekie od wszelkich nieprawych uroszczeń, to jedno mają na celu, ażeby wiernie a treściwie ponotować wrażenia, jakich doznałem w wycieczce po kraju, choćby dla tego ciekawym, że jest nieznanym.

* * *

Z powodu ciągłéj najniepoczciwszéj, jak tylko być może słoty, trwającéj bez przerwy całe trzy tygodnie, podróż, którą zamierzyłem odbyć w Sierpniu, mógłem doprowadzić do skutku zaledwie we Wrześniu, mniéj dogodnym do podróży, z powodu że dnie stają się krótsze a noce chłodnawe, co w kraju jak Serbja, gdzie drogi a więcéj jeszcze zajazdy, pozostawiają wiele do życzenia, rzeczą obojętną być nie może.

Pierwszych dni Września pogoda zaczęła się ustalać, o tyle przynajmniéj, że przestało lać się za kołnierz. A lubo powietrze było jeszcze mocno ochłodzone i wodne pary zawieszone w atmosferze podnosząc się w górę ze wschodem słońca, tworzyły całe gromady chmur, które zdawały się każdéj chwili zagrażać deszczem, wszakże znudzony i zniecierpliwiony długiém wyczekiwaniem, postanowiłem z wyjazdem nie zwlekać, lecz gardząc złowróżbnymi niebios horoskopy, wyruszyć w podróż. Prawda, że na postanowienie moje tego rodzaju mniéj wpłynęło lekceważenie słoty, któréj gdzie jak gdzie, ale na Wschodzie lekceważyć nie radziłbym nikomu, a więcéj ta okoliczność, że ludzie obeznani z kalendarzową mądrością zapewnili mnie najuroczyściéj, że więcéj tu deszczu nie będzie, że nastaje właśnie pora największéj pogody, która zazwyczaj trwa całą jesień. Jakoż zapewnienie to nie zawiodło mię. Przez cały czas podróży cieszyłem się niezamąconą niczem pogodą, co było dla mnie tém zbawienniejszém, że już w pierwszych dniach méj wędrówki zgubiłem parasol, jak gdyby opiekuńczy los chciał mnie uwolnić od niepotrzebnego ciężaru.

Przedmiotem pierwszéj méj wycieczki, miał być *Majdan-Pek*, leżący w górach *Peku*, a sławny ze swych kopalni miedzi i żelaza, eksploatowanych przez angielską kompaniję. Najkrótsza i najwygodniejsza droga do niego prowadzi na *Milanowac*, do którego jedzie się Dunajem. Z *Milanowca* nie zostaje jak sześć, do ośmniu godzin drogi do *Majdan-Peku*.

Dnia 5-go Września odpływał właśnie ku *Milanowowi* statek „Dyanna”, kursujący stale między *Belgradem* *) a *Orssową*. Zrana, o godzinie siódméj byłem już na statku, rozprawiwszy się uprzednio z miejscową policją, dopilnowującą paszportowych formalności.

Dano hasło do wyjazdu—buchnęły kłęby dymu, zawarczały koła—i oto jesteśmy w drodze, za każdym obrotem koła, coraz bardziéj oddalając się od miasta.

Spojrzałem ku niknącym murom Belgradu, w którym cały rok przemieszkiwałem, ażali przypadkiem kto skinieniem ręki mnie nie pożegna?... Jedźmy... nieobecność moja nikomu na sercu nie zaciąży.

Na statku zastałem towarzystwo bardzo liczne. Był to bowiem dzień w którym *serbska Omladyna*, wyjeżdżała na zjazd do *Kikindy*.

Ponieważ nie wszystkim musi być wiadomo co to jest *Omladyna*, nie od rzeczy będzie, jeżeli słów kilka o niéj powiem.

Omladyna dosłownie znaczy młodzież dorosłą, młode pokolenie. Wyrazu tego używa za nazwę dla siebie liberalna partja w Serbji. Partja ta zaledwie od lat kilku byt swój datująca, nie jest liczna, ani też jak należy uorganizowana. Nie ma ona wyraźnego programatu, podług którego rozwijając swą działalność, mogłaby wywierać jaki wpływ na bieg spraw, przyczynić się mających do wyrobienia w pewnym kierunku opinji publicznéj. Jéj widoki gubią się nierzadko w teoretycznych spekulacyjach, jéj zapatrywaniom się na sprawy krajowe, brakuje po większéj części praktycznego zmysłu, jaki wyrabia doświadczenie połączone z gruntowną nauką; z tém wszystkiém ma ona tę wielką cnotę, że jest jedyną partją w Serbji, występującą nie w imię téj lub owéj osobistości, ale w imię idei dobra publicznego.

Wśród wszystkich innych partyj, jakie mniéj więcéj uwydatniają się w Serbji, a które ściśle biorąc, nie są czém innem, jak koterjami, *Omladyna* jedna świadczy o rzeczywistym postępie jaki się dokonał ostatniemi laty w Serbji, zaznaczając zbawienny kierunek do wyjścia z zaklętego koła stronniczych waśni i niezgody, które tylu klęsk stały się przyczyną.

Dla wzajemnego porozumienia się w rzeczach dotyczących

*) *Belgrad*, stolica Serbji, położona jest przy zejściu się rzeki Sawy z Dunajem. Miasto silnie ufortyfikowane i ważne pod względem handlu, liczy 40,000 mieszkańców. W starożytności nazywało się *Tauranum;* po niemiecku *Weisseburg;* po sławiańsku *Bielehrad.*

kraju pod wszystkimi w ogóle względami, urządza Omladyna od czasu do czasu zjazdy, pod przybraną nazwą towarzystwa śpiewaków. Dotąd było dwa takich zjazdów, w *Werszcu* w miesiącu Maju b. r. i w *Kikindze*, dokąd właśnie towarzysze moi statkiem udawali się. Oba te miasta leżą w *Banacie węgierskim*. Oprócz reprezentantów serbskiéj Omladyny, mieliśmy jeszcze dość znaczny zastęp *torgowców* (handlarzy).

Klasa torgowców jest bardzo liczna w Serbji i powszechnie poważana. Stanowi ona niejako pośrednie ogniwo między klasą urzędniczą, będącą zarazem jedyną kraju inteligencją, a wieśniakami, którzy żyjąc w całéj prostocie patrjarchalnych czasów, pogrążeni są we właściwéj tymże czasom ciemnocie.

Naród serbski jest par excellence narodem handlarskim i pasterskim. Rolnictwu mniéj chętnie się oddaje.

Wśród kompanji tak licznéj trudno się nudzić; osoby i ich gawędy, żywe budziły zajęcie, nastręczając co chwila coś nowego méj uwadze, która tém swobodniéj mogła się oddawać swym obserwacjom, ile, że brzegi Dunaju, aż do samego *Smederewa*, nie przedstawiają nic tak bardzo ciekawego.

Brzeg Dunaju austrjacki jest płaski, monotonny aż do znudzenia, a do tego prawie całkiem pusty. Oprócz *Pańczewa*, jednego z ważniejszych miast pogranicza wojskowego, leżącego niedaleko od brzegu, na całéj przestrzeni między *Zemlinem* a *Bazyaszem* zaledwie kilka wiosek w oddaleniu daje się spostrzegać. Brzegi Serbji wcale innéj są natury. Ciągną się one pasmem wzgórz niewielkich, pokrytych zielonością, które nie są bez pewnego wdzięku. Na pochyłościach tych wzgórz, nie rzadko widzisz pasące się owce z pilnującym pastuszkiem, który ciekawie spogląda na przesuwający się rzeką statek, u saméj znów rzeki pojedyncze rybaków sadyby i czołna, huśtające się na fali—i dziatwę przy nich. Nie brakuje także i wiosek, które w znacznych wprawdzie odstępach rozsiały się u stóp wzgórków, lub na ich przyczołkach, wzdłuż Dunaju, niby strażnice kraju.

Między temi wioskami jest jedna, która zasługuje by o niéj w tém miejscu nadmienić. Jestto wioska *Wisznica*, o godzinę drogi od *Belgradu*. W niéj został ujęty, r. 1787 przez oddział turecki, cesarz Józef II, który w mundurze pułkownika wyruszył był w nieliczném towarzystwie swych adjutantów na rekonesans. Cunibert powiada, że dowódca oddziału tureckiego, którego więźniem stał się cesarz, za uwolnienie go i zachowanie całego wypadku w tajemnicy, otrzymał w nagrodę pozwolenie na... rabunek *Pańczewa*.

Czas upływał mi szybko; to też anim się spostrzegł, jak po kilkogodzinnéj podróży zaczęliśmy się zbliżać do *Smederewa*, którego twierdza o ząbkowatych wieżycach majestatycznie zarysowała się na tle oddalenia.

Smederewo jest jedném z najważniejszych miast w Serbji, tak pod względem handlowym, jak i historycznym. W dalszych rozdziałach będę miał sposobność, obszerniéj o niém pomówić, tu nadmienię tylko, że pod Smederewem przechodził Władysław Warneńczyk Dunaj, przedsiębiorąc pierwszą wyprawę na Turków.

Statek nasz długo się nie zatrzymywał w Smederewie. Po szybkiéj wymianie osób i towarów, puściliśmy się daléj w drogę. Smederewskie okolice słyną z wybornego winogradu. Niestety! nie mogliśmy się weń zaopatrzyć, gdyż był jeszcze za kwaśny...

Towarzystwo naszego statku, składające się dotąd li z reprezentantów płci brzydkiéj, zostało teraz wzbogaconém dwoma egzemplarzami płci tak zwanéj pięknéj. O tych okazach mógłbym powiedzieć słowami Krasickiego: „a o Ryczywole, zamilczeć wolę,” jakoż zamilczałbym o nich w rzeczy saméj, gdyby nie pewna okoliczność, która zwróciła na nich moję uwagę, i o któréj nie będzie rzeczą zbyteczną gdy słów kilka powiem. (d. c. n.)

ŻÓŁTY WUJASZEK.

OPOWIADANIE,

przez

Władysława Łozińskiego.

(*Dalszy ciąg*).

Przypomniałem sobie teraz dopiero, że nie miałem z sobą światła. Zakłopotałem się tém trochę, ale pocieszyłem się łatwo, bo i na cóż było mi potrzeba świecy, kiedy księżyc świecił jasno w pełni i oblewał całą strugą światła moję izbę.

Rozglądałem się po raz pierwszy dokładniéj po mojém mieszkaniu.

Była to długa a wązka komnata staroświecka. Mimo zaniedbania i ruiny poznać było łatwo, że należała do świetnych jakichś pańskich apartamentów.

Ściany były po większéj części wyłożone ciemném polerowaném drzewem i ozdobione rzeźbami, a pułap także cały był okryty sztukateryą. Rzeźby te były podobne owym, które oglądałem na froncie domostwa: same maszkary i larwy—szyderskim śmiechem powykrzywiane. Ozdoby te dziwne, nadawały całéj izbie coś fantastycznego, a nawet strasznego.

Meble kurzem okryte dziwacznych także były kształtów i skojarzyły się z całą ponurą powierzchownością izby. W jednym końcu stała ogromna szafa, ozdobiona snycerską robotą, a naprzeciw niéj wprawione było w ścianę duże, weneckie zwierciadło, z jednéj ogromnéj płyty, sięgające od podłogi aż pod powałę.



Belgrad, stolica Serbji. (Str. 67).

Naprzeciw téj szafy był baldachim z czerwonego, ale spłowiałego już adamaszku. Za kotarami znalazłem duże, rzeźbione i rozmaitemi ozdobami wykładane łóżko, usłane skórzanym materacem. Wydobyłem z podróżnego kuferka poduszkę i burkę zimową i posłałem sobie na spoczynek.

Wprawdzie sen nie chwytał się mych powiek, bo byłem strudzony podróżą. Położyłem się tedy i odsunąwszy trochę kotary adamaszkowéj tak, abym na komnatę mógł patrzeć, począłem dumać. Wzrok mój jednak nie mógł się oderwać od dziwacznego urządzenia izby.

Przy mgławém świetle księżyca patrzyły na mnie potwory i maskarony z ścian i pułapu, i zdawało mi się że oczy ich się ożywiają i mrugają na mnie, że usta wykrzywione po djabelsku poruszają się i lada chwilę przemówią do mnie...

Byłem odważnego serca — ale mimo to czułem że mi nieprzyjemnie w téj samotnéj, fantastycznéj komnacie. Opatrzyłem pistolety, oparłem szablę przy łóżku i odwróciłem się w drugą stronę, usiłując usnąć.

Ale w mojém położeniu sen był trudnym. Nawał myśli cisnął mi się do głowy, a myśli te były frasobliwe i przykre. Rozmyślałem nad dziwnym, nieodgadnionym wypadkiem, który wyrwał mi Helenkę, a z nią razem moje szczęście i spokój... Zdało mi się że mi pęknie głowa śród najrozmaitszych domysłów, przypuszczeń i dociekań, które razem stanowiły tylko daremne szamotanie się rozumu, aby rozwiązać tę niesłychaną zagadkę.

Gdy umysł znużony temi myślami odmawiał mi już prawie usługi, a serce szukało ulgi w swéj żałości,—począłem przywodzić sobie na pamięć owe szczęśliwe chwile, które poprzedzały ową tajemniczą katastrofę. Stanął mi jasno na myśli cały ów świat mego szczęścia, cały raj méj młodości. Przypominałem sobie wszystkie chwile spędzone słodko w dworze pana marszałka Oleszy, pod bokiem ukochanéj Helenki, wszystkie rozmowy, które prowadziliśmy, wszystkie drobne zajścia i sceny tego zacisznego, spokojnego życia w Basztokolu. Nic dziwnego, że wspomniałem także o żółtym generale z baszty, który przecież był jednym z świadków téj najmilszéj pory mego życia... Stanęła mi żywo w pamięci owa scena, kiedy to zabierając stary konterfekt z sobą, wzywałem żółtego wujaszka na świadka méj miłości do Helenki, a nawet w pustym żarcie jego protekcyi u Lucypera, w razie potrzeby, żądałem.

Co wówczas mówiłem żartem, to dzisiaj byłbym był gotów powtórzyć z szaleństwem rozpaczy, bo istotnie zwątpienie zamąciło moję znękaną duszę.... Gdyby nie uczucie religijne, byłbym był wzywał istotnie w szale moim księcia piekielnego, aby on zszedł mi w pomoc i wyświecił całą zagadkę.

Ale wspomnienia basztokolskiego życia spadły łagodzącą rosą balsamów na serce—i rozpacz zamieniły w rozrzewnienie jakieś żałosne.... Łzy puściły mi się mimowolnie z oczu — począłem płakać jak dziecko.

Naraz, przez kotary adamaszkowe oblała mnie struga jasnego światła, bijącego z głębi staroświeckiéj alkowy... Równocześnie usłyszałem szmer lekki, jakby ciche, ale wyraźnie stąpanie...

Przypomniało mi się gdzie jestem i strach mnie nagły objął zimnym dreszczem. Mimowoli sięgnąłem po pistolet i podniósłszy się na łóżku rozchyliłem kotary i spoglądnąłem na izbę...

Włosy stanęły mi na głowie i dech zaparł się w piersi...

Miałże to być sen, czy złudzenie oka?... Nie spałem przecież, a to co ujrzałem było tak wyraźne, tak prawdziwe, tak żywe, że łudzić się nie mogłem...

Przed zwierciadłem, o którém mówiłem, stał, w pełnym swym mundurze, żółty generał!...

Tak jest! on to był żywy... jakby zszedł z płótna basztokolskiego konterfektu...

Stał przed zwierciadłem i przyglądał się sam sobie...

Poznałem tę samą twarz chudą, kościstą i ostro markowaną, te oczy czarne, przenikliwe, nos skrzywiony i długi, brodę spiczastą. Ale twarz ta teraz przejęła mnie niewypowiedzianą zgrozą, bo była żywa i jakimś demonicznym wyrazem oznaczona.

Upiór ubranym był najzupełniéj tak samo, jak generał z portretu.

Ten sam żółty frak z haftami, z szarfą i orderem, ta sama szpada biało oprawna, ta sama fryzowana i pudrowana peruka z pizonami i katagonem...

Stojąc przy dużém zwierciadle, przyglądał się sobie i swemu uniformowi. Pod pachą lewego ramienia trzymał swój trójgraniasty kapelusz, a w prawem ręku trójramienny lichtarz z świecami.

Nie! to nie mogła być ułuda... Upiór był żywy i ruszał się — świece w jego ręku paliły się jasnym płomieniem...

Zimny pot oblał mnie—chciałem wołać... nie mogłem... Wzrok mój utkwił w zwierciadło i jakby więziony czarnoksięzką siłą, oderwać się odeń nie mógł.

Żółty wujaszek przeglądał się chwilę w zwierciadle, potem cofnął się powoli w tył... Rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie w wenecką szybę—obrócił się... usłyszałem kilka stąpań cichych... i widziadło znikło...

W pokoju zrobiło się znowu ciemno...

Chwilę siedziałem jeszcze w mojéj pozycyi, jak skamieniały—aż przyszedłszy nieco do siebie, choć cały jeszcze potem zimnym oblany, rozsunąłem kotary i stanąłem na środku izby...

Obejrzałem się...

W izbie było cicho i głucho.

Drzwi od korytarza były zamknięte, a innego wyjścia nie było...

— Wszelki duch chwali pana Boga!... szepnąłem przerażony i opatrzyłem pierś zastygłą znakiem krzyża świętego.

IV.

Nie potrzebuję opowiadać, że po takiéj przygodzie, sen nie rychło skleił mi powieki, że byłem znużony ogromnie. Obszedłszy i oglądnąwszy cały pokój, wróciłem na łóżko i począłem myśleć nad nieodgadnionémś zjawiskiem. Wytłumaczyć go sobie żadnym rozumnym sposobem nie mogłem. Nie było to ani senne widzenie, ani majaczenie gorączki. Na żywe oczy widziałem żółtego wujaszka.

Kiedy tak leżałem cały jeszcze pod wrażeniem niewytłumaczonego zjawiska, usłyszałem naraz w sąsiednich pokojach jakiś ruch, szelest, jakby stąpanie kilku ludzi, potém nastała cisza, a za chwilę odezwał się skrzyp bramy na dworze i turkot powozu... Potém zaległa znowu głucha, niczém nieprzerwana cisza...

Nie byłem nigdy zabobonny i na męztwie godziwém nigdy mi nie brakło, ale przyznam się, że stan mój przez ten cały czas nie był do pozazdroszczenia.

Szczęściem jednak znużenie przemogło rozbudzoną imaginacyą i sen ujął mnie w swe ramiona. Zasnąłem twardo, a kiedy się obudziłem, już promienie słońca oblały jaskrawém światłem staroświecką komnatę. Czułem lekki ból głowy i osłabienie, co było widocznie skutkiem rozdrażnienia nerwowego, którego doznałem wczorajszego wieczora. Przypomniał mi się zaraz upiór wczorajszy, ale wspomnienie to tak spłynęło z nocnymi snami, że prawie sam zdać sobie sprawy nie mógłem, czyli to mara była senna, czy istotnie tajemnicze zjawisko.

Ubierając się, spojrzałem na zwierciadło, przed którém pojawił się był żółty generał z świecznikiem w ręku. Na podłodze ujrzałem gęste krople białego wosku. A więc nie łudziłem się; co widziałem, było istotnie prawdą. Upiór zostawił po sobie ślady i to nie takie, do jakich przyzwyczajają nas baśnie o duchach, bo nie by-

ły to ani krople smoły, ani stopy wypalone, ale naturalny wosk, jakiego na świece powszechnie używano.

Oglądałem bliżéj zastygłe krople wosku, były świeże, nawet jeszcze kurzem nieokryte. Takie wmięszanie się rzeczywistości namacalnéj w to, co radbym był sobie koniecznie wytłumaczyć gorączkowém jakiémś przywidzeniem, jeszcze bardziéj mnie skonfundowało... Nie wiedziałem już teraz, co o tém wszystkiém myśleć....

Jakoż chciałem porzucić wszelkie domysły, skoro okazały się daremnymi, gdy naraz spostrzegłem, że krople wosku znajdowały się także nieco daléj i że tworzyły niejako ślad téj drogi, po któréj wracając od lustra przemknęło mi się przed oczyma widziadło żółtego wujaszka.

Patrzę uważniéj i wodzę okiem za tym śladem, widocznie przez spadanie kropli z świec oznaczonym — i uważam, że idą aż do owéj dużéj, dębowéj i snycerską robotą suto ozdobnéj szafy, o któréj przy opisaniu komnaty wspomniałem.

Tuż przy saméj szafie ślady się kończyły. Co to być może u licha?...

Chwilkę stałem zdumiony a potém zacząłem oglądać dobrze ścianę. Przypomniało mi się bowiem w samą porę, jako bywają po zamkach i pałacach tajemne wychody, które tylko ktoś świadomy znaku ich sekretnego odkryć potrafi. Przypatruję się tedy bacznie ścianie, która jak mówiłem już, wykładana była ciemném drzewem, na którém znajdowały się najrozmaitsze snycerskie figle. Była w tém miejscu głowa murzyna, który miał nos przewleczony pierścionkiem. Pociągnąłem za ten pierścień, probując czy przypadkiem nie komunikuje się z jaką sprężyną tajemniczą—i oto istotnie zaledwie targnąłem nosem murzyńskim, kawał ściany poddał się i usunął.... Były to małe, niskie drzwi, starannie maskowane rzeźbami. Ucieszyłem się jak dziecko tém odkryciem, a że cała moja przygoda nocna wielce rozbudziła moję imaginacyą, zapomniałem o wszelkiéj ostrożności i tak jak stałem, do połowy jeszcze nieubrany, przesunąłem się przez drzwi tajemne, mówiąc sam do siebie:

— Nie sztuka znikać nagle z oczu, mój szanowny upiorze, jeżeli się ma takie wejście! To i ja potrafię!

Przez drzwi dostałem się do drugiéj komnaty, większéj i stronniejszéj niż ta, w któréj nocowałem. Był to pokój w formie regularnego całkiem kwadratu. Ściany jego wybite były zieloną, ale także spłowiałą już bardzo materją, podłoga okryta była tureckimi dywanami, które zachowały jaskrawe swe kolory, mimo grubego koloru pyłu, na ścianach porozwieszane były duże mapy mórz, krajów i karty z dziwacznemi figurami.

Widocznie musiał to być gabinet, albo kancelarja, bo oprócz kilku stołów okrytych zielonem suknem i założonych papierami, stało między oknami duże biórko, oparte na posążkach panien morskich, z złoconymi ogonami delfinów. Przy jednéj z ścian stały dwie szafy szklanne, przepełnione książkami — a kilka staroświeckich sof i kozet uzupełniało całe umeblowanie.

Cały pokój uderzał, tak jak i moja sypialnia, gustem dziwacznym i mocno staroświeckim, a wydawał się nadto tak, jakby od wieków nie był zamieszkany. Wszystkie sprzęty i papiery okryte były grubym pokładem pyłu, a powietrze przygniecione było stęchłą, wilgotną zaduchą.

Począłem się oglądać po całéj izbie—i powoli, pocichu przeszedłem ją, posuwając się aż do drzwi, które znajdowały się w przeciwnéj ścianie.

Potém wzięła mnie chętka przeglądnąć bodaj z wierzchu leżące na biórku i na stołach papiery, aby tym sposobem dojść, ktoby był dawniéj właścicielem i mieszkańcem tego starego, dziwnego domu, w którym, jakby u siebie, broił upiór żółtego generała.

Już zbliżyłem się do biórka i chciałem ręką sięgnąć po jakąś dużą kopertę listową, opatrzoną długim adresem, gdy nagle usłyszałem tuż za ścianą, w sąsiednim pokoju, głośne, szybkie kroki i głosy ludzkie....

Przestraszyłem się i zmięszałem okropnie.... Nie była to już jednak trwoga, przed jakiém nowém zjawiskiem, bo dzień był biały i słońce wesoło świeciło, ale był to strach przed zwykłymi ludźmi, którzy zastawszy mnie nieznajomego w pokoju, i to jeszcze nawet nawpół nieubranego, gotowi byli wziąść za złodzieja po prostu.... A do tego zamiast być wdzięcznym za przysługę, mógłbym może narobić przykrego kłopotu poczciwemu Dyzmie, który mnie wbrew zakazowi swego pryncypała, ulokował w tém starém domostwie...

Z srogiego kłopotu straciłem na chwilę przytomność, a tymczasem kroki i głosy zbliżały się już do samych drzwi... Uciekać przez odkryte przezemnie wyjście do sypialnéj alkowy, było już zapóźno—słyszałem ze zgrozą, jak się w drzwiach poruszała zardzewiała klamka. Byłem w prawdziwéj rozpaczy...

W takim arcy-nieprzyjemném, rozpaczliwém prawie położeniu, padł mój wzrok na duży stół, okryty aż do saméj ziemi zieloném suknem, który stał o dwa kroki zaledwie od biórka. Nasunął mi się jedyny sposób ratunku. Szybko rzuciłem się do stołu i w mgnieniu oka zniknąłem po za suknem, które go ze wszystkich stron okrywało....

Znalazłem się w dobrém ukryciu i odetchnąłem swobodniéj. Nikt mnie pod stołem ujrzeć nie mógł, ale i ja też nic widzieć nie mogłem. Położyłem się na ziemi, nawet palcem nie ruszając, i począłem słuchać....

Usłyszałem jak się drzwi odemknęły i jak przez nie weszły dwie osoby. (d. c. n.)

WIĄZANKA.

Znam takich ludzi którzy nie wiedzą co z czasem robić. Biedni! Chciałbym ich porównać z neapolitańskimi lazaronami, ale pomimo najszczerszéj chęci, z przyczyny innéj u nas natury, innego nieba, klimatu i innego ustroju społecznego, w żaden sposób nawet tym stanem usprawiedliwić ich nie potrafię. A może też i przesadzam? Jakto, w pośród ogólnéj biedy i niedostatku mieliżby się znajdować pomiędzy nami tacy którzyby nie wiedzieli co robić z czasem? Mieliżby dobrowolnie tracić teraźniejszość i przyszłość? Mieliżby się umyślnie marnować, pchać w przepaść ubóstwa, nędzy, zepsucia, zbrodni, wystawiać się na wzgardę i pośmiewisko u publiczności? Nie, to niepodobna!

A przecież tak jest.

Na dowodzenie tego proszę za mną. Co to za figury siedzące od świtu do późnéj nocy, za stołem, w ciemnéj, brudnéj, okopconéj izbie, otoczone atmosferą tytoniowego dymu i alkoholicznymi wyziewami spirytusu i bawara? -- To ludzie skarżący się na brak pracy. — Co to za postacie nawpół trzeźwe nawpół pijane, grające po kilka godzin z rzędu dziennie w karty, szachy, domino i płacące ostatnią złotówkę za szalony taniec, w miejschach napiętnowanych hańbą i zgorszeniem? — To ludzie szczupłych funduszów, ludzie bez jutra, bez przyszłości, to ludzie narzekający na niesprawiedliwość losów, na ciężkie czasy. —Co to za cienie chodzące z jednéj ulicy na drugą, bez potrzeby, bez celu, zwiedzające wszystkie restauracye, winiarnie, bawarye, unikające własnego domu, zastawiające u lichwiarzy zegarki, odzienie i pamiątki rodzinne, na zabicie czasu, na hulanki z kompanami i serdecznymi przyjaciołmi? — To rzemieślnicy będący w upadku, to biedni urzędnicy i oficyaliści, to mężowie i ojcowie dzieci nie mających za co ogrzać się ciepłą strawą, nie mających czém odziać nagością połyskujących nóg i ramion. —Co to za młodzież, grająca naprzykład, w téj cukierni w téj brudnéj, podejrzanéj kawiarni, w bilard, z zapałem godnym najlepszéj sprawy, marnująca godziny i dnie całe na robienie kalemburów i dukatówek, wśród wrzawy, świstań, gwizdań, kłótni, bijatyk, nieprzyzwoitych dowcipków, obrzajęcych dwuznaczników, — co to za dzieci z zamglonem okiem, z wybladłą twarzą, rzucające kajeta pod bufet, pod stół i krzesła, a zachowaniem się swojém w miejscach publicznych, przewyższające wybrykami najwyuzdańszych specyalistów?—To nasi następcy, to przyszła podpora kraju, to uczniowie pięknie przepędzający czas po za szkołą, kalający godność i nazwisko które na sobie noszą — to ludzie nie wiedzący co robić z czasem.—Albo ów cienki, wymokły paniczyk—czego on tak jeździ po mieście, siadając z dorożki na doróżkę, czego on chce od téj dawno już wypróżnionéj przed nim butelki?—Ta piękna, grymaśna pani, dla czego tak długo stoi w oknie i patrzy gdzieś, gdzieś w przestrzeń bez końca i myśli, dla czego się nudzi i muzyką i snem i pinczerem i papierosami a nawet plotkami i intryżkami? — Bo nie wie co robić z czasem. Śmiech mnie pusty bierze, lecz wyznać muszę iż znam pewną osobistość która sypia do godziny jedenastéj z rana, po śniadaniu znów kładzie się w łóżko, po obiedzie drzemie do wieczora, a po kolacyi rozbiera się i nie wstaje aż dopiero nazajutrz o jedenastéj. Ba, ileż to jest takich którzy wiedzą ile jest szyb na Krakowskiém Przedmieściu, ile drzew w Saskim ogrodzie, ile kroków z placu Krasińskich aż do Trzech Krzyży? Kiedyś, dziwiłem się sławnemu naszemu powieściopisarzowi, *T. T. Jeżowi*, który opisując zajęcia i zabawy młodych obywateli wiejskich, *w Drugiém Bożém Przykazaniu*, wyraził się o nich, iż w przystępie dobrego humoru, leżąc przez kilka godzin na ziemi, plują w sufit— dla przepędzenia czasu. Dziś już mu wierzę, bo gorsze od tego widziałem i słyszałem rzeczy.

Pytanie, jak temu zapobiedz?

Z jednéj strony, zmusić, głosem opinji powszechnéj, ludzi marnie zabijających czas, do pracy,— a z drugiej, wymódz u kogo należy — w imię ogólnego dobra — udzielenie im pracy.

A cóż zrobić z tymi szczęśliwcami fortuny, którzy pracować nie umieją i nie chcą i jak im się zdaje, nie potrzebują, mając szczególnym zbiegiem okoliczności, pełne kalety grosza na wszelkie wygody i wygódki życia? Czyż praca ich nie obowiązuje? Jako żywo. I oni pracować powinni i muszą na korzyść ogólnego dobrobytu, pod karą napiętnowania ich nazwiskiem *odstępców i pasożytów*, ale niestety, postępować z nimi trzeba jak z małoletniemi dziećmi, lub jak z zdziecinniałymi starcami.

Dla takich i tym podobnych indywiduów, w miejsce bezcelowego

spędzenia czasu na niczém, zdaje mi się że dobrém i skuteczném będzie następujące użycie, nie aleopatycznego i nie homeopatycznego, ale czysto literackiego lekarstwa:

Na pierwszém miejscu stawiam tu ukształcenie i zbogacenie umysłu wiedzą. Nauka i wiedza uszlachetniają człowieka i wdrażają w niego poczucie obowiązku, poczucie odpowiedzialności ze wszystkich chwil życia. Środkiem nabycia jéj dla młodych jest szkoła i uniwersytet, dla starszych książki i pisma peryodyczne. W Warszawie nie brak tych środków. Oprócz dopiero co wymienionych, na szczególniejszą zasługuje uwagę, przez szczupłą zaledwie liczbę publiczności znana i zwiedzana, a przecież dla każdego otwarta codziennie i bezpłatnie, *Czytelnia*, przy Bibliotece głównéj, mieszcząca się na Krakowskiém Przedmieściu, w środkowym pawilonie Kazimirowskiego pałacu. Tak jest, mamy publiczną *Czytelnię*, a mało kto o niéj wie i mało z niéj korzystamy. *Czytelnia* ta przystępną jest dla każdego. Każdy w niéj może zarządać potrzebnéj mu książki, usiąść przy stole, czytać i notować co mu się tylko spodoba, codziennie, wyjąwszy świąt i czwartków, od 9-éj rano i to—*bezpłatnie*. Przepędziwszy parę godzin w *Czytelni*, wychodzi się z tamtąd poważniejszym i bez porównania więcéj zadowolonym, aniżeli po próżném bębnieniu w szyby, ziewaniu, grze w bilard i śmiesznéj defiladzie po ulicach, kawiarniach i cukierniach.

Drugiém antidotum przeciwko próżnemu spędzaniu czasu, jest zwiedzanie *Wystawy obrazów*, czyli *Sztuk pięknych*, także na Krakowskiém Przedmieściu, w gmachu po-Bernardyńskim, otwartéj codziennie od rana do wieczora i płatnéj w niedziele i święta po kop. 5, a w inne dnie po kop. 15. Tam to obok wykształcenia gustu i nabycia smaku w malarstwie, możemy się przyjrzeć najznakomitszym utworom, takich naprzykład pierwszorzędnych naszych artystów jak: Simler, Matejko, Kostrzewski, Suchodolski, Kossak, Tegazzo, Pillati, Miller i wielu innych. Przeważną część *Wystawy* zajmują rozmaitego rodzaju *obrazy*. Rzeźba tylko i budownictwo nadzwyczaj skromnie są na niéj reprezentowane. Uczęszczanie na *Wystawę Sztuk Pięknych*, polecamy i przypominamy wszystkim naszym czytelnikom i czytelniczkom, jako obowiązek podtrzymywania *Sztuki krajowéj*, i jako jeden z najprzyjemniejszych sposobów przepędzenia czasu. Z nowości nadesłanych w tych dniach na *Wystawę*, zasługują na uwagę: *Grajek*, Kostrzewskiego, prześliczny, sielski obrazek. *Południe* i *Poranek w puszczy*, dwie prace znamionujące niemały talent p. Chełmońskiego. *Widok Warszawy*, p. Jadwigi Dębowskiéj. *Niewczesny żart*, p. E. Majewskiéj. Dwa widoki kościołów: w *Chlewiskach* i w *Stobiecku*, p. Małeckiego—i *portret* trojga dzieci, Millera.

A *Teatr?* Wpływ teatru, wpływ dzieł dramatycznych, muzyki i śpiewu, na ukształcenie serca, uczucia, a nawet i głowy człowieka, aż nadto jest nam już znany. Krytyka, Estetyka i doświadczenie, dowodzą nam tego jasno, jak na dłoni. Dla tego też nie wdając się w żadne głębsze nad tym przedmiotem uwagi, zapytam się tylko ludzi nie wiedzących co z czasem robić, dla czego, zamiast nudzić się pomiędzy czerema ścianami, zamiast dusić się kawiarnianym dymem i truć żołądek bawarską ambrozyą—nie idą do teatru? Czyż gra w karty miałaby ich więcéj zajmować, niż gra Królikowskiego, Rapackiego, Żółkowskiego i Modrzejewskiéj,—niż śpiew Filebornа, Kwiecińskiéj i Dowiakowskiéj? Czyż sen, cygaro, bilard i trunek więcéj ich wzruszą niż: *Zbójcy*, *Było to pod Wagram*, *Pan Jowialski*, *Geldhab*, *Adrianna Lecouvreur*, *Halka*, *Hrabina* i t. p. Nie, tego nie przypuszczam—nie uwierzę temu.

Spędziwszy zatém kilka godzin dziennie w *Czytelni*, na *Wystawie* i w *Teatrze*, ani się spostrzeżemy jak nam czas upłynie, dziwiąc się jeszcze w dodatku, że omało nie opuściliśmy obiadu i kolacyi. Rozumie się samo przez się, iż używanie podobnych przyjemności, nie może być normą postępowania ogółu, nie może być stałém zajęciem wszystkich jednostek społeczeństwa, mających na pierwszym planie spełnienie obowiązków swego zawodu, rozwiązanie kwestyi bytu własnego utrzymania.—Nie. W każdym jednak razie dla jednych może być znakomitą rozrywką po pracy, uzupełniając przytém ich wykształcenie i ogładę, dla drugich zaś, a zwłaszcza dla niewiedzących co robić z czasem, najskuteczniejszém i najprzyjemniejszém lekarstwem na nudy.

Z nowości scenicznych, oprócz utworów J. Sand'a: Dramatu, *Margrabia Villemer* — i komedyi, *Zamęźcie Wiktoryny*, zalecających się tylko szlachetnością myśli i uczucia, a nie odznaczających się ani intrygą, ani nawet effektem, odegrano pierwszy raz w dniu 18 z. m. w Teatrze Wielkim skandaliczną komedyjkę pp. Meilhac i Halevy, p. t. *Fru-fru*. Komedya ta miała wielkie powodzenie w Paryżu i Wiedniu. Czy się jednak zaaklimatyzuje i u nas w Warszawie—nie wiemy. Zdaje mi się że—niepowinnaby...

Z przybytku Sztuk Pięknych, pomimo protestacyi serca i fantazyi, przejdźmy teraz do czegoś praktyczniejszego, realniejszego, a mianowicie do instytucyi ekonomicznéj, przeważnie obchodzącéj nasze codzienne potrzeby, potrzeby żołądka i kieszeni. Ba, rzecz to arcy-ważna, a zwłaszcza dla tych którzy Liebiga uważają za największego wieszcza ludzkości, a ekstrakt mięsny za najpiękniejszy poemat, przewyższający swą treścią nawet Iliadę, Odysseę i Pana Tadeusza. Chcemy tu powiedzieć kilka słów o działaniu *Stowarzyszenia Spożywczego „Merkury" w Warszawie*, za trzecie półrocze, od 1 Lipca do 31 Grudnia 1870 r.

Z urzędowego *Sprawozdania*, szczegółowemi usprawiedliwionego cyframi, okazuje się, iż Stowarzyszenie Spożywcze *Merkury*, posiadało po dzień 31 Grudnia 1870 r. kapitał w massie czynnéj rs. 24,907 kop. 25$^1/_2$, a w massie biernéj rs. 21,295 kop. 84$^1/_2$, czyli, że czysty zysk Stowarzyszonych członków, wynosi rs. 3,611 kop. 41. A że w poprzedniém półroczu czynił rs. 3,213 kop. 74$^1/_2$, zyskano zatém obecnie więcéj o rs. 397 k. 66$^1/_2$. Kapitału obrotowego, nie licząc zaległości u członków, przybyło także w ostatniém półroczu o rs. 483 kop. 58$^1/_2$; kapitału rezerwowego o rs. 675 kop. 1, stan więc majątkowy Stowarzyszenia, zwiększył się o rs. 1,152 kop. 66$^1/_2$. Liczba członków Stowarzyszenia na r. 1871 wynosi 1,369 osób; a że na 3 półrocze zostało ich się 1,179, przeto na rok 1871 jest więcéj o 190. Czysty dochód ze sklepów wynosił: w I półroczu rs. 979 kop. 55; w II półroczu rs. 1,429 kop. 74; w III półroczu rs. 2,061 k. 86. Najwięcéj sprzedano: cukru, mąki, kaszy, grochu, pieczywa, herbaty, towarów kolonijalnych, masła i świec stearynowych. Najmniéj śledzi i wyrobów tabacznych. — Oprócz otworzenia, d. 15 Października, piątego sklepu na Solcu, otwartym jeszcze został d. 28 Października r. z. *Bazar*, w którym publiczność składać może różne rzeczy na sprzedaż, a którego urządzenie kosztowało Stowarzyszenie rs. 310.—W sklepach sprzedano towaru za rs. 65,014 k. 76; sposobem rabatowym za rs. 29,476 k. 65$^1/_2$; w Bazarze zaś za rs. 1,078 k. 61. Ogólna zatém sprzedaż wynosi rs. 95,570 k. 2$^1/_2$. Dyrektorem powyższego Stowarzyszenia jest obecnie p. A. Makowiecki, Sekretarzem—p. B. Żmijewski. W obec tych cyfr, nie wypada nam nic innego dodać, jak tylko zachęcić publiczność wszelkiego stanu, zajęcia i wyznania do jak najliczniejszego zapisywania się na listę członków Stowarzyszenia; bo im większą będzie ich liczba i liczba kupujących, tym Stowarzyszenie, jako zamożniejsze, więcéj rozprzestrzeniać się będzie i tym większe będą ogólne zyski, do podziału i korzystania z których, każdy po szczególe członek najzupełniejsze ma prawo. Zagranicą, niektóre z podobnych stowarzyszeń, dziś już obracają milijonami, a zbawienny ich wpływ na byt ludności, zwłaszcza roboczéj, jest zadziwiający. Naśladujmyż więc to co jest naśladowania godném, nie zrażajmy się żadnemi *ale*, uprzedzeniami i intrygami, bądźmy ludźmi wytrwałości i czynu a nie słowa i niezgody, iźmy naprzód i pracujmy ręka w rękę, tak jak Bóg przykazał i jak tego położenie nasze wymaga, a i u nas znajdą się powoli miliony, znajdzie się dobry byt, a z nim i ogólna pomyślność jednostek, dbałych szczerze o siebie i o swoję przyszłość.—

Co się to znaczy, iż dzienniki nasze najbłahszą wiadomostkę, pojawienie się małp, psów tresowanych, pierwszego lepszego linoskoka i pajaca, echem rozgłośnéj trąby obwieszczają biednéj publiczności, wodząc jéj kieszeń na pokuszenie, a milczą jak kamień, jak trumienne wieko, wtenczas, kiedy wypadałoby z całych sił poprzeć niejedno zacne, szlachetne, na własnéj niwie kiełkujące, a brzemienne w pocieszające skutki, przedsięwzięcie? Co się to znaczy? Czyżby to była niechęć do swojskości? Nie myślę... Zdaje mi się że jest to tylko chwilowe zapomnienie się, które po głębszéj rozwadze i zastanowieniu, ustąpić powinno miejsca dobru i pożytkowi publicznemu. Dla czego np. żadne Warszawskie pismo nie raczy wspomnieć o *Przeglądzie Tygodniowym*, o tym tanim a najżywotniejszym i najruchliwszym u nas organie prasy peryodycznéj? Czyżby dla tego że jego Redakcya wytyka bez ogródek i z całą sorowością nasze błędy, niedostatki, śmieszności i wady? Czyżby dla tego że poważa się krytykować nieomylność naszych kastowoliterackich powag i mierności? Ależ za to powinniśmy jej być tylko wdzięczni! Zresztą, *Przegląd Tygodniowy*, jakim jest, takim jest, zawsze jednak robi wszystko co tylko może, aby być potrzebnym w rękach czytelników szukających prawdy a nie mrzonek. Pod każdym więc względem zasługuje na poparcie i rozpowszechnienie, nie zaś na zapomnienie i obojętność. Oprócz zwykłéj treści z życia społecznego, literatury i sztuk pięknych, drukuje jeszcze obecnie w swych szpaltach dwie powieści. Jedną w tekscie: *Gwiazdy upadłe*, a drugą w dodatku, znakomicie sławną i głośną w całéj Europie, tłumaczoną z rosyjskiego: *Dym*, Jana Turgeniewa. Kto jéj nie czytał, niech czyta. Mało tego. W Nr. 8 z r. b. Redakcya dołączyła prospekt na *Podręczną Encyklopedyą Powszechną, w 1-m wielkim tomie z atlasem*. Ma to być treściwy dykcyonarz, dostarczający nam każdéj żądanéj wiadomości, krótko ale pewnie zebranéj, w którym wszystkie nauki i wszystkie imiona własne doprowadzone zostaną aż do r. 1871, a zatem wypełnią nawet to, czego niedostaje w obszernéj Encyklopedyi Orgelbranda. Rzeczywiście, potrzeba podobnego podręcznika bardzo u nas czuć się dawała, a wydanie takowego poczytaném być powinno *Przeglądowi* za wielką zasługę. Będzie to książka, ile wnosić możemy z *prospektu*, niezbędna nietylko dla ludzi ukształconych, ale konieczna na każdém biórku, warsztacie, buduarze i pulce. Oprócz ogólnéj wiedzy znajdzie w niéj czytelnik artykuły dotyczące: ziemioznawstwa, opisu krajów, historyi ludów, ich literatury, sztuk, zamożności, stosunków wzajemnych, urządzeń społecznych, zgoła wszystko co tylko może służyć za przewodnika, co ułatwi kierowanie się, oraz wynalezienie naprędce żądanéj wiadomości. *Encyklopedya* ta wychodzić zacznie od 1 Października r. b. poszytami. Wszystkich poszytów będzie 15. Prenumeratę nadsyłać należy *do Redakcyi Przeglądu Tygodniowego w Warszawie, ulica Nowolipie*, Nr. 2414, która wynosi: Na całość bez atlasu, rs. 5, a za każdy zeszyt miesięczny z przesyłką, kop. 35, przesyłając *najmniéj* na 5 zeszytów, z odnowieniem prenumeraty przed wydaniem każdego piątego zeszytu. Cena atlasu ustanowi się dopiero po wyjściu, gdyż od liczby prenumeratorów zależeć będzie jego wielkość. Dzieło to tak ważne i użyteczne, dzieło niemałych przytem potrzebujące nakładów, *wszystkim prenumeratorom Przeglądu Tygodniowego, dołączoném będzie od 1-go Października roku bieżącego w zeszytach co miesiąc bezpłatnie, jako premium.* Ponieważ zaś *Przegląd Tygodniowy* kosztuje rocznie w Warszawie, z odnoszeniem rs. 4 a na prowincyi rs. 6, a sama *Encyklopedya* kosztować będzie rs. 5 przeto, oszczędzając tych 5 rs. kto od 1 Stycznia 1871 r. zaprenumeruje *Przegląd*, dostanie tem samém *darmo* całą *Encyklopedyą* w dodatku. Mam nadzieję, że przy tak niesłychanie przystępnych warunkach, publiczność nasza nie będzie obojętną na to potrzebne i pożyteczne wydawnictwo, ale widząc w niém własną korzyść i własne dobro, podniesie je i rozpowszechni po wszystkich dworach, domach,

domkach i chatach, z zapałem godnym najpiękniejszéj sprawy, bo sprawy oświaty i popularyzowania wiedzy, téj dźwigni ogólnego dobrobytu i szczęścia ludzkości.—

Kiedyśmy już zaczęli mówić o prasie peryodycznéj, nie od rzeczy będzie tu także wspomnieć kilka słów o *Zorzy* i *Przyjacielu Dzieci*.

Zorza, pismo tygodniowe poświęcone dla ludu wiejskiego i miejskiego, jako jedyne u nas w swoim rodzaju, a przytem odznaczające się doborem stósownych artykułów, zasługuje ze wszech miar na gorętsze niż dotąd u nas poparcie. Lud wiejski albo wcale nie wie, albo bardzo mało wie o téj przeznaczonéj dla niego publikacyi. Na kimżeż więc, jeżeli nie na klassie więcéj wykształconéj, polega sumienne zadanie rozpowszechnienia pomiędzy ludem, służbą i oficyalistami tego, co może być zachętą do czytania, nauki i umoralnienia milionów, ciemnych jeszcze i nieoświeconych, a zatem skłonnych do złego, mass? —mass, w pośród których żyjemy, z któremi ciągle obcujemy i które, jako dostarczające nam najważniejszego materyału, bo rąk do pracy, w rolnictwie i jego odministracyi, powinny nam być bardzo, a bodaj czy nie na pierwszém miéjscu, na sercu. Nie bądźmyż więc ani opieszałymi, ani samolubami. Kilka złotych wydanych na prenumeratę *Zorzy*, wróci nam się z nieobliczonym w błogie następstwa procentem w przyszłości, a trzéźwość, wierność, ład, porządek, dostatek i inne domowe cnoty młodszéj braci naszéj, największą i najdroższą opromienią nas nagrodą—zadowoleniem spełnionego obowiązku.—

Przyjaciel Dzieci, redagowany przez J. K. Gregorowicza, jest także jedném i jedyném u nas pismem przeznaczoném dla młodociannego wieku. Nikt nam zapewne nie zaprzeczy prawdziwości tego przysłowia, że *czém skorupka nasiąknie za młodu, tém na starość trąci.* Dla czegóż jednakże chętniéj otaczamy młode pokolenie czczemi zabawkami, lalkami, fraszkami, wózkami i konikami, aniżeli przedmiotami mogącymi łatwo wpływać na rozwinięcie się ich serca i umysłu? Do tych ostatnich należy bezwątpienia *Przyjaciel Dzieci.* W nim bowiem, oprocz wiadomości z dziedziny historyi naturalnéj i historyi świętéj, spotykamy się z różnemi powiastkami i opowiadaniami, z wierszykami, bajeczkami i rycinami, przedstawiającemi znakomitych mężów, sławne miasta, widoki, dzikie zwierzęta, osobliwsze ptaki i w ogóle wszystko co młody umysł zająć, zabawić, rozśmieszyć i nauczyć może. Pomimo tego, z dziećmi wprawdzie spotykamy się wszędzie, w każdym domu i na każdém nieomal miejscu,—z *Przyjacielem* jednakże *Dzieci*—mało gdzie. Kto temu winien? Rozumie się że rodzice. Na usprawiedliwienie tego zarzutu, weźmy z ogólnéj cyfry mieszkańców Królestwa Polskiego, 5,340,000 dusz, tylko 60,000 dzieci, od lat 7 do 14, pragnących wyższego wykształcenia i zapytajmy się Redakcyi, ilu też z tych 60,000 ma prenumeratorów?... Odpowiedź przerażająca—niecały 1000! Jedno pismo na 60,000 zamożnych dzieci, nie rozchodzi się nawet w jednym tysiącu egzemplarzy! To prawie nie do uwierzenia — a jednak tak jest.

Karnawał przeszedł jak meteor i ani znaku po nim. Śluby, bale, zabawy, tańce, hulanki, swawole — wszystko to znikło, jakby za dotknięciem czarodziejskiéj rószczki, wszystko ucichło i uspokoiło się, nie wiem, czy ze zwyczaju, czy ze znudzenia, czy pod wpływem sypiącego się na nas w Środę popielcową prochu mniejsza o to, dosyć że czas szału skończył się i przeszedł. Następuje teraz *rozmyślanie*, a dla niejednego zapewne *smutne, gorzkie żale*. Tak to zwykle bywa. Ha, pocieszajmy się przynajmniéj maksymą, że nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło.

Post, a z nim żałoba kościelna, nie przeszkadzają jednak wcale poważniejszym rozrywkom ducha, jak np. Koncertom, odczytom i t. p. Szereg pierwszych rozpoczął przed kilku dniami znakomity wiolonczelista *Józef Servais*; drugie zaś, oprócz odbywających się w sali Stowarzyszenia subjektów handlowych i w Zakładzie dla kobiet p. W. Szmidt, będą miały miejsce co poniedziałek i piątek, *na dochód niezamożnych studentów tutejszego Uniwersytetu*. Odczyty te, wypowiadane przez prawdziwe powagi, przez ludzi znanych i sławnych na polu nauki, spodziewać się należy że ściągną wielką liczbę słuchaczów, tak przez swój cel, jako też i treść. Oto ich program: 1) prof. Lewestam, mówić będzie *O Hamlecie.* 2) prof. Przystański *O dźwięku.* 3) pr. dr. medycyny Brodowski, *O popularyzowaniu nauk lekarskich.* 4) pr. Holewiński, *O własności autorskiéj literackiéj.* 5) pr. Struve, *O teatrze.* 6) pr. Jurkiewicz, *O srebrze.* 7) pr. dr. medycyny Girsztowt, *O zawiązku i rozwoju zakładów dobroczynnych.* 8) pr. Białecki, *O wojnie i prawach międzynarodowych.* 9) pr. Aleksandrowicz Jerzy, *O lasach.* 10) pr. Miklaszewski, *O uwięzieniu osób pod zarzutem będących.* 11) pr. dr. medycyny Łuczkiewicz, *O małżeństwie pod względem hygienicznym.* 12) p. Zacharyasiewicz Jan, *O idealizmie i realizmie w literaturze.*—

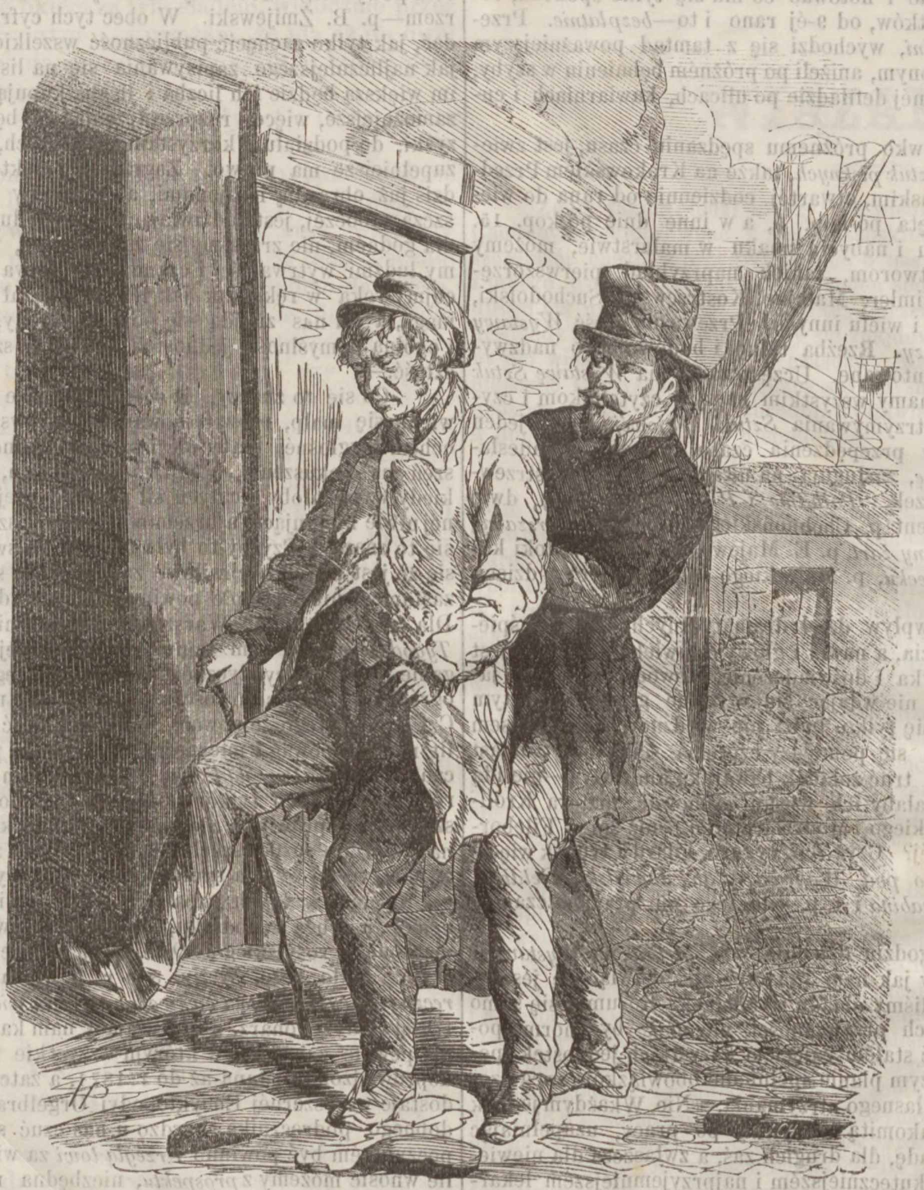
P. *August Mosbach*, znany autor na polu historyczém, napisał niedawno dzieło o wojnach francuzko-niemieckich, od r. 1810—1813, ułożone według relacyj i pamiętników wojskowych. Tegoż samego pióra wychodzi u Żupańskiego w Poznaniu dzieło: *Bolesław Chrobry.*—

Do dwóch wychodzących dotąd w Warszawie pism humorystycznych, przybyło jeszcze i trzecie, p. t. *Kolce, kartki humorystyczno-satyryczne*, wydawane nakładem i pod redakcyą p. M. Dzikowskiego, których pierwszy zeszyt wyszedł w d. 23 z. m. *Kolce* wychodzić będą zeszytami, od czasu do czasu, bez illustracyj. Jak dotąd, zasługują w nich na uwagę następujące artykuły: *Bez końca*, opowiadanie *Wołodego Skiby*; *Pijany*, monodram, *Bogumiła Aspisa*; *Pod sekretem* i *Ogłoszenia.* Cena pojedynczego zeszytu kop. 30.—

Redakcya *Tygodnika Illustrowanego* drukuje w szpaltach swoich dramat p. Narzymskiego, p. t. *Epidemija*, który uwieńczony został, na konkursie dramatycznym krakowskim, pierwszą nagrodą.

△

FRASZKA



Przed szynkiem.

— A co wam to kumie? A toście się strąbili!...

— Ej, nie strąbiłem się, ino tak opadam z cia-ciała. To z po-po-postu...

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою, 16 (28) Февраля 1871 г. — Redaktor, Stanisławski Oskar.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*.